CZĘŚĆ II

GLOBALNY ZASIĘG KULTURY KAPITALIZMU: WPROWADZENIE

Stawiamy tezę, że koncepcja samoregulującego się rynku jest czystą utopią. Istnienie tego typu instytucji przez dłuższy okres doprowadziłoby niezawodnie do unicestwienia jednostek ludzkich i rozpadu społeczeństwa. Przyczyniłoby się do fizycznej eksterminacji człowieka i przekształcenia jego środowiska w pustkowie. Zrozumiałe, że społeczeństwo podjęło kroki w swojej obronie, ale jakiekolwiek środki zaradcze utrudniały jednocześnie samoregulowanie się rynku, dezorganizowały życie przemysłowe i tym sposobem wystawiały społeczeństwo na zgoła odmienne zagrożenia. Właśnie wspomniany dylemat doprowadził do sytuacji, w której rozwój systemu rynkowego został wtłoczony w ustalone tryby, a zbudowana na nim społeczna organizacja legła w gruzach.

Karl Polanyi, *The Great Transformation*

Każde społeczeństwo staje w obliczu pewnego problemu – w jaki sposób dystrybuować bogactwo. Innymi słowy, jaki zestaw zasad, wykształconych w danym społeczeństwie, określa dostęp jednostek do pożądanych zasobów? W rzadkich wypadkach, gdy bogactwa jest pod dostatkiem, a ludzi niewielu, teoretycznie nie powinno być problemu, ponieważ każdy bierze to, co chce. Jednak w sytuacji gdy istnieje deficyt zasobów albo z jakiegoś powodu ludzkie potrzeby są ogromne, musi zostać wprowadzony jakiś system, precyzujący, co się komu należy. W społeczeństwach tradycyjnych najbardziej rozpowszechnionym sposobem dystrybucji dóbr było dzielenie się albo dawanie darów – normy zachowań dobrze nam znane i wciąż kultywowane. Gdy ktoś posiadał

więcej dóbr, niż potrzebował, a kto inny cierpiał niedobór, zasoby były przekazywane za darmo. W wypadku dawania darów albo w ramach zasady wzajemności ludzie przekazywali innym pewne dobra albo oferowali pomoc przy jakiejś pracy, oczekując, że w określonym momencie odbiorca daru się zrewanżuje. Teoretycznie nic nie stoi na przeszkodzie, aby nawet bardzo liczne społeczeństwa zorganizować według zasady wzajemności albo wymiany darów jako głównych sposobów dystrybucji zasobów (zob. Graeber 2001).

Inną metodą redystrybucji bogactwa są podatki albo daniny. W tym wypadku dobra albo usługi – w postaci części plonów, trzody, wyrobów rękodzielniczych, tkanin albo pieniędzy – są przekazywane na ręce przedstawiciela władzy centralnej (np. wodza, króla albo państwa), który zatrzymując jakąś część na własne potrzeby, redystrybuuje resztę. Podatki, płacone przez nas na rzecz skarbu państwa, służą w części do pokrycia kosztów funkcjonowania administracji rządowej, a pozostała kwota jest wydatkowana na edukację, programy opieki społecznej, system ochrony zdrowia, infrastrukturę (drogi, wodociągi i kanalizację, wywóz śmieci itp.) oraz siły zbrojne.

Wreszcie jest rynek. Targowiska są znane od tysięcy lat. Kupcy, rzemieślnicy i chłopi od wieków przywozili swoje dobra na targowisko i tam wymieniali na inne towary albo sprzedawali je. Praktycznie każde miasto czy miasteczko na świecie miało swój targ albo system targowisk, gdzie ludzie mogli kupować i sprzedawać dowolne towary. Dziś oczywiście cały świat jest jednym wielkim targowiskiem, a kiedy używamy słowa „rynek", mamy na myśli zasadę redystrybucji bogactwa, a nie jakieś konkretne miejsce, choć ogólna prawidłowość pozostała niezmieniona: ludzie wytwarzają dobra albo świadczą na rzecz innych usługi w zamian za pieniądze.

W sytuacji modelowej ludzie oferują tylko te towary i usługi, na które istnieje popyt, i na podstawie podaży oraz popytu ustala się pewna równowaga. Adam Smith w pracy *Bogactwo narodów* (1776) postrzegał funkcjonowanie rynku jako „niewidzialną rękę", za pomocą której dobrotliwy Bóg kieruje wszechświatem. W tym ujęciu ludzkie szczęście podlega maksymalizacji. Jest to idealny system, w którym każda osoba, pragnąca zaspokoić swoje potrzeby, pracuje jednocześnie dla dobra całego społeczeństwa. W ten sposób, oddając się pogoni za pieniędzmi i bogactwem, każdy człowiek przyczyniałby się do zaspokajania, niejako przy okazji, wymagań lub pragnień innych osób. Dla Smitha rynek reprezentował utopijną wizję, w której bogactwo było nieustannie tworzone dla powszechnego dobra.

Jednak zgodnie z przewidywaniami Smitha, aby rynek mógł funkcjonować, musiały zostać spełnione określone warunki, z czego trzy miały absolutnie zasadnicze znaczenie. Po pierwsze, korzyści z istnienia rynku były odczuwalne wtedy, gdy jednostki mogły zademonstrować swój popyt, a do tego potrzebowano pieniędzy. Jeżeli dana osoba nimi nie dysponowała, to nikt nie był zainteresowany świadczeniem jej usług ani produkowaniem towarów. Po drugie, niezbędna jest konkurencja między ludźmi, dostarczającymi na rynek swoje towary i usługi. Dzięki konkurencji kupujący mogą wybierać spośród różnych dóbr i usług, proponowanych przez sprzedających,

decydując się ostatecznie na najlepsze. W ten sposób nieustannie zmuszają producentów do oferowania jak najlepszych i możliwie tanich wyrobów. Po trzecie, musi istnieć system egzekwowania umów, system podtrzymujący rządy prawa, a także metoda docierania do ludzi z informacjami na temat dostępnych produktów i usług – wszystkim tym miało zająć się państwo.

Nie ulega wątpliwości, że rynek jako sposób dystrybucji towarów i usług jest wysoce efektywny. Niemniej z racji tego, że warunki, wskazane przez Smitha jako niezbędne do sprawnego funkcjonowania rynku, rzadko bywają spełnione (np. nie wszyscy dysponują wystarczającymi zasobami pieniędzy), większość społeczeństw dokonuje podziału na towary i usługi, które powinny być dostarczane wyłącznie za pośrednictwem rynku (np. dobra luksusowe, a także inne towary nie pierwszej potrzeby), oraz takie dobra i usługi, które powinny być dostępne dla każdego niezależnie od sytuacji finansowej. W Stanach Zjednoczonych edukację uważa się za usługę o tak wielkim znaczeniu dla funkcjonowania społeczeństwa demokratycznego, że, przynajmniej do pewnego poziomu, jest dostępna (a nawet obowiązkowa) dla każdego. Żywność, woda, dach nad głową, ochrona zdrowia są osiągalne, do określonego stopnia w większości społeczeństw, dla osób pozostających poza obiegiem rynkowym. Zatem państwo ma do wypełnienia jeszcze jedną funkcję, a mianowicie decydowania, które rzeczy są zbyt istotne, aby pozostawiać je wyłącznie w gestii rynku.

Jednak oprócz kwestii związanej z określeniem, które sprawy można pozostawić w gestii rynku, a co powinno być dystrybuowane poza obiegiem rynkowym, istnieje jeszcze problem, formułowany przez ekonomistów jako **zewnętrzne efekty rynku**. Chodzi o konkretne konsekwencje, wynikające z działania rynku, niektóre pozytywne, lecz większość o wyraźnie negatywnym charakterze, np. wspominane już w poprzednim rozdziale ukryte koszty benzyny. Rynek pozostawiony samemu sobie może spowodować tragiczne skutki dla środowiska przyrodniczego, w miarę jak coraz więcej osób będzie eksploatować zasoby naturalne, chcąc produkować dobra, cieszące się powszechnym popytem. Zewnętrznymi efektami rynku są również choroby i zgony, wynikające z tego, że części ludzi nie stać na zakup żywności, a także nierówności w dystrybucji bogactwa i konsekwencje tego. Kolejne rozdziały dotyczą w większym lub mniejszym stopniu właśnie zewnętrznych efektów funkcjonowania rynku, jednak łatwiej nam będzie wyjaśnić, co rozumiemy pod tym terminem, jeśli skupimy się na kilku elementach naszej kultury i wytłumaczymy, jaki wpływ na społeczeństwo ma ich funkcjonowanie.

UWAGI NA TEMAT ZEWNĘTRZNYCH EFEKTÓW RYNKU: PARADOKS POLANYIEGO

W dziele, poświęconym rewolucji przemysłowej *The Great Transformation* (1944), Karl Polanyi sformułował coś, co można by nazwać „paradoksem Polanyiego": jak to

możliwe, aby rynek funkcjonował efektywnie bez jednoczesnego rozpadu społeczeństwa? Doskonałą ilustrację wspomnianego paradoksu stanowi błyskotliwa praca autorstwa Johna C. Ryana i Alana Theina Durninga *Stuff: The Secret Lives of Everyday Things* (1997). Autorzy opisują, co musi się wydarzyć w innych częściach świata, aby przeciętny mieszkaniec Ameryki Północnej mógł korzystać z towarów codziennego użytku, np. filiżanki kawy, gazety, podkoszulka, butów, samochodu, hamburgera, frytek czy butelki coli.

Posłużmy się przykładem. Do zaparzenia filiżanki kawy potrzeba około stu ziarenek wyhodowanych na krzewie kawowym na niewielkiej farmie w Kolumbii. Ranczerzy wykarczowali zbocze wzgórza, aby wypasać tam bydło, a biednym wieśniakom do uprawy kawowców i drzew owocowych pozostały mniej urodzajne tereny. Do 1980 r. gęste skupiska drzew rzucały cień na krzewy kawowe, a wśród bujnej roślinności gnieździło się dzikie ptactwo i inna zwierzyna. Jednak w latach osiemdziesiątych drzewa zostały wykarczowane i farmerzy posadzili tam wysoko wydajne odmiany kawowca, powodując tym samym zwiększoną erozję gleby i dziesiątkując populację ptaków. W wyniku pozbycia się ptaków i innych stworzeń, żywiących się owadami, szkodniki zaczęły rozpleniać się na masową skalę, zmuszając do stosowania większej ilości środków owadobójczych. Rozpylali je ubrani w podkoszulki i krótkie spodenki robotnicy, którzy z pewnością wdychali cząsteczki pestycydów do płuc. Z racji tego, że kawa jest drugim pod względem wielkości obrotów towarem na świecie, ceny są niskie, podobnie jak niskie są płace, oferowane robotnikom pracującym na plantacjach kawy, i wynoszą mniej niż dolara za dniówkę, co zmusza ludzi do zamieszkiwania w zatłoczonych dzielnicach nędzy. Zebrawszy ziarna na naszą filiżankę kawy, robotnicy wrzucają je do maszyny spalinowej oddzielającej miąższ, który następnie wraz z wodą spuszczają do rzeki. Ziarna kawy (pół kilo ziaren na kilogram miąższu) po wysuszeniu na słońcu zostają przetransportowane do Nowego Orleanu na frachtowcu, napędzanym wenezuelską ropą, a zbudowanym w Japonii z koreańskiej stali, która została wytopiona z rudy, wydobytej na terenach tubylczych plemion w zachodniej Australii.

W Nowym Orleanie ziarna są prażone przez trzynaście minut w temperaturze 400 stopni w piecach zasilanych gazem ziemnym z Teksasu. Zapakowana w worki, wykonane z polietylenu, nylonu, folii aluminiowej i poliestru, kawa trafia na przyczepie olbrzymiej osiemnastokołowej ciężarówki do miejscowego magazynu, a stamtąd już mniejszym samochodem dostawczym zostaje rozwieziona do wybranych sklepów. Tam kupujemy ją i przynosimy do domu w dużej brązowej papierowej torbie, wyprodukowanej w papierni w Oregonie. Do sklepu jechaliśmy samochodem, spalając około litra benzyny. Po powrocie do domu odmierzyliśmy odpowiednią ilość ziaren za pomocą plastikowej miarki, wykonanej w New Jersey, i wsypaliśmy całą porcję do chińskiego młynka z aluminium, miedzi i tworzywa sztucznego. Zmieloną kawę przesypaliśmy do papierowego filtra, który z kolei umieściliśmy w stalowo-plastikowym ekspresie do kawy. Woda została dostarczona siecią wodociągów z miejscowego ujęcia, przechodząc po drodze przez stację uzdatniania, a następnie została podgrzana do temperatury